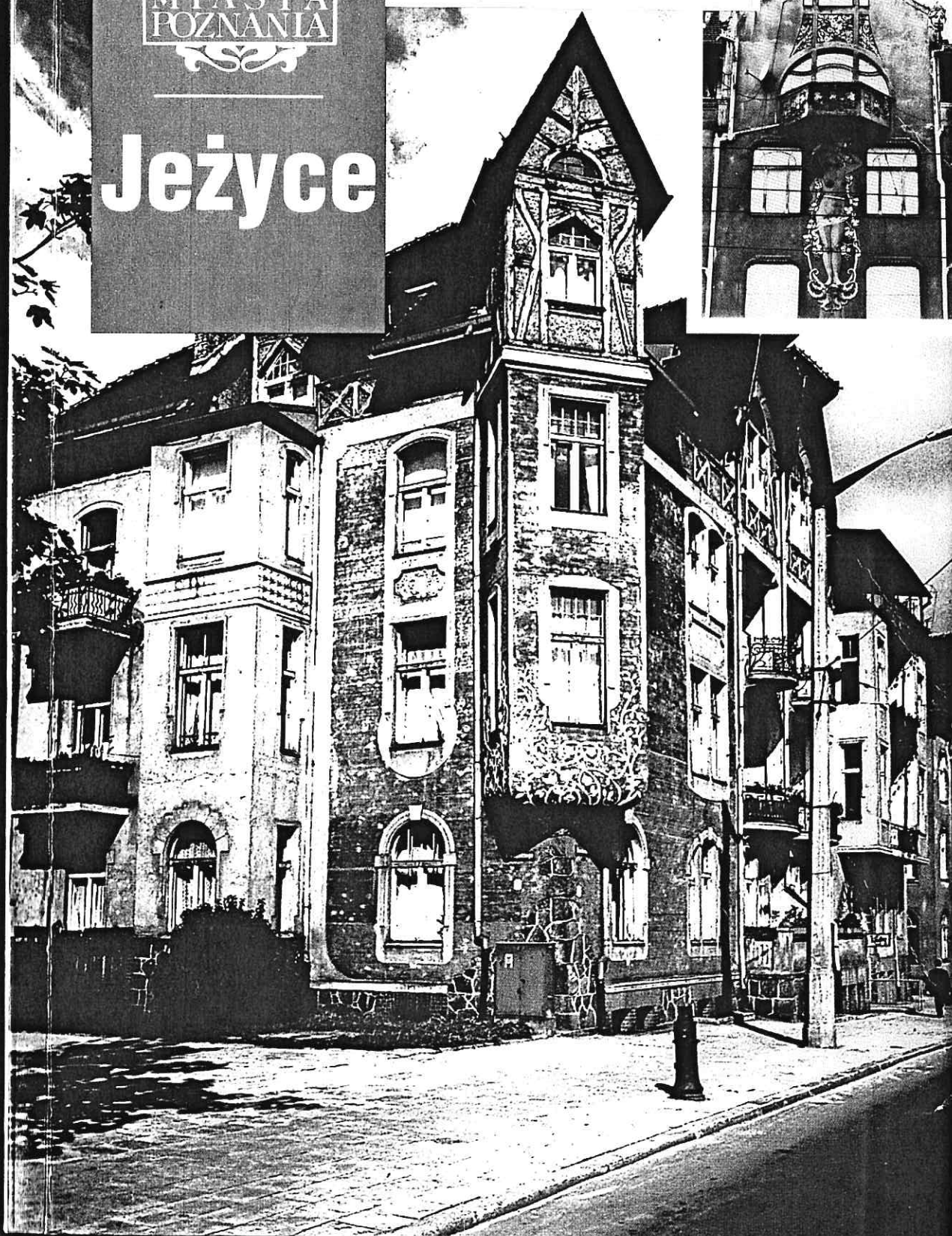
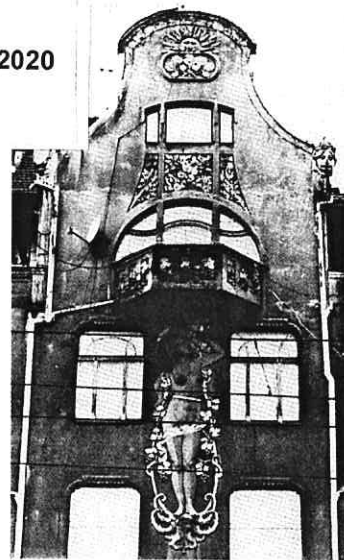


KRONIKA
MIASTA
POZNANIA

Jeżyce

ZAŁĄCZNIK NR 1
DO UCHWAŁY NR XVII/122/VII/2020
RADY OSIEDLA JEŻYCE
z dnia 8 października 2020 r.



WYDAWNICTWO MIEJSKIE

KRONIKA MIASTA POZNANIA

ul. Ratajczaka 44, 61-728 Poznań

Kwartalnik wydawany na zlecenie Rady Miasta Poznania

KOLEGIUM REDAKCYJNE

Jacek Wiesiołowski (przewodniczący i redaktor naczelny),
Jan Skuratowicz, Lech Trzeciakowski, Bogdan Walczak,
Magdalena Warkoczewska, Marek Ziółkowski

PRZEDSTAWICIEL ZARZĄDU MIASTA

Maciej Frankiewicz

PRZEDSTAWICIEL RADY MIASTA

Stanisław Mikołajczak

SEKRETARZ REDAKCJI

Danuta Książkiewicz-Bartkowiak

REDAKTOR PROWADZĄCY

Marek Ziółkowski

Projekt okładki i karty tytułowej

Grzegorz Marszałek

Na okładce:

Kamienice przy ul. Roosevelta 4 i 5 i ich detale, fotografie ze zb. MKZ.

ISSN 0137-3552

Opracowanie komputerowe
Studio Poligraficzne Wydawnictwa Miejskiego
ul. Ratajczaka 44, 61-728 Poznań
tel. 851-96-85, e-mail: stud_iks@um.poznan.pl



POZNAŃSKA DRUKARNIA NAUKOWA
Poznań, ul. Heweliusza 40

rzyliście zespół,
i...
owiedzi na nur-
zem. Także po-
gacanie.
logiem, pragnie-
z tego i zacznie
emierzy, to straci
taje się istotą ży-
Ku radości wi-

wać tak, jak lubi-
.. W filmie mogę
la siebie, na wła-

efekt na scenie.
potrafiła. Jakość
premierę, bo naj-

ie radości i – tym-

TAKI ROJBER JAK JA NIE MOŻE BYĆ KSIĘDZEM
wspomnienia ks. Włodzimierza Okoniewskiego,
byłego proboszcza jeżyckiej parafii
pw. Najświętszego Serca Jezusa i św. Floriana,
spisał

WŁODZIMIERZ BOGACZYK

Urodziłem się na Jeżycach, tu spędziłem dzieciństwo i młodość, z Jeżycami je-
stem przez całe życie związany. I Panu Bogu dziękuję, że mnie tak z tą dziel-
nicą związał. To szczególna łaska.

Moi rodzice poznali się na Ostrowie Tumskim. Matka Helena była bratanicą
arcybiskupa Edwarda Likowskiego. Gdy miała dwa lata, zmarła jej matka, cztery
lata później ojciec. Jako sześciolatnie dziecko znalazła się u swego stryja, wtedy
jeszcze biskupa pomocniczego diecezji poznańskiej (dopiero w czasie I wojny
światowej władze niemieckie zgodziły się na mianowanie Polaka arcybiskupem
Gniezna i Poznania; wówczas te dwie diecezje były połączone unią personalną).
Moim ojcem Kazimierzem opiekował się starszy o 16 lat brat, ksiądz Stanisław
Okoniewski, mansjonarz przy Katedrze poznańskiej, a od 1926 roku biskup cheł-
miński.

Matka ukończyła w Krakowie Liceum ss. Urszulanek, gdzie przełożoną była
błogosławiona Urszula Ledóchowska. Ojciec, co ciekawe, nie chodził – jak wielu
jego rówieśników – do Gimnazjum św. Marii Magdaleny, tylko do Gimnazjum
Augusty Wiktorii, czyli do dzisiejszego „Marcinka”, w którym i ja się uczyłem.
Ojciec w niemieckim poprzedniku „Marcinka” kończył klasę o profilu klasycz-
nym, ja – o profilu humanistycznym. Gdy byłem już klerykiem, śmiał się ze mnie
i mówił: – Ty się dopiero teraz uczysz hebrajskiego, greki i łaciny, a ja to miałem

już w gimnazjum! Po skończeniu liceum ojciec studiował na politechnice w Kemnitz w Niemczech.

Rodzice mieli trójkę dzieci. Mój starszy brat Bogdan skończył ekonomię i pracował jako ekonomista. Młodsza siostra Danuta skończyła poznańskie Liceum ss. Urszulanek i wyszła za mąż za ekonomistę. Siostra miała czwórkę dzieci, a brat dwójkę. Zawsze mówiłem, że siostra miała dwójkę za mnie, tak żeby na każde z rodzeństwa wypadło po dwoje.

Kiedy wybuchła I wojna światowa, ojca zmobilizowano. Na froncie, krótko przed wybuchem powstania wielkopolskiego, został ranny, dlatego do niemieckiego wojska nie wrócił, a dołączył do powstańców. Pracował w komendzie powstania. Później, gdy byłem już kapłanem, w czasie kolędy wiele osób pokazywało mi dokumenty, na których widnieje podpis mojego ojca, poświadczający jego udział w powstaniu.

Pierwsze lata mego życia to dzisiejsza ul. Zeylanda, która wtedy nazywała się Przecznicą. To była ulica łącząca dwie arterie jeżyckie – ulice Zwierzyniecką i Bukowską z ulicą Grunwaldzką. Mieszkaliśmy pod trójką.

W tej samej kamienicy mieszkał generał Kazimierz Raszewski, były pułkownik armii pruskiej, który w czasie powstania przeszedł na stronę powstańców, a później dowodził garnizonem poznańskim. W czasie II wojny światowej był więziony przez Niemców. Zwolniono go, kiedy był już bardzo chory i wkrótce potem zmarł. W naszej kamienicy mieszkał też stomatolog pan Spiżewski. Był zapalonym myśliwym, miał bardzo ostrego psa, z którym jeździł na polowania. Pamiętam, że często zabierał swoją dubeltówkę i wyjeżdżał sportową deką.

Pod trójką mieszkała również rodzina państwa Zdunków. Ojciec pracował w zakładach Cegielskiego, a syn Tadeusz, mój rówieśnik, z którym do tej pory się przyjaźnię, pracował w Radiu Polskim – Poznań. Po ewakuacji radia w czasie działań wojennych jako jedyny pracownik pozostał na posterunku aż do wkroczenia wojsk niemieckich do Poznania.

Co było bardzo dla tej ulicy charakterystyczne, to przechodzące nią kondukt pogrzebowe. Ruchu kołowego wtedy prawie nie było. Z kaplicy przedpogrzebowej, która mieściła się na dzisiejszej ul. Kościuszki, na tyłach plebanii parafii Najświętszego Zbawiciela (dzisiaj ta kaplica nie istnieje, są tam wojskowe tereny, należące do dowództwa korpusu lotniczego), kondukt szły na cmentarze, tam, gdzie dziś są tereny targowe. Na wprost ul. Przecznicą był cmentarz Farny, obok, w stronę ul. Roosevelta – cmentarz Świętomarciński. Te cmentarze Niemcy zlikwidowali w czasie wojny, a rodziny mogły przenieść szczątki zmarłych na cmentarze komunalne na Miłostowie i Junikowie. Na terenach cmentarzy parafialnych wybudowano hale, z których dziś korzystają Międzynarodowe Targi Poznańskie, a w czasie wojny były tam zakłady produkujące części do samolotów wojskowych. Na tereny targowe często z ojcem chodziliśmy. Pamiętam Powszechną Wystawę Krajową w 1929 roku. Miałem wtedy osiem lat i oczywiście najbardziej interesowało mnie wesołe miasteczko z karuzelami i elektrycznymi samochodzikami.

Przecznicą przechodziły też parady wojskowe. Na Jeżycach stacjonowały dwa pułki piechoty – 57. i 58. przy ul. Bukowskiej. Bardzo blisko, przy ul. Grun-

waldzkiej, był 15. Pułk Ułanów. Mieli takie czerwone otoki na czapkach. Najwspanialszą orkiestrę miał pułk strzelców konnych, z białymi otokami na czapkach. Pamiętam dobosza tej orkiestry, wielkie chłopisko, jak wszyscy w orkiestrze na siwym koniu, z dwoma bębnami po bokach.

Bardzo blisko nas, przy ul. Zwierzynieckiej był Ogród Zoologiczny. W pierwszej części Ogrodu znajdował się teren parkowy, gdzie chodziło się na spacer, była restauracja i kawiarnia. Chodziliśmy tam z rodzicami na lody. Obok, przy parkanie od strony ul. Gajowej, była muszla koncertowa. I tam kapelmistrz Sternański latem w niedzielne popołudnia dyrygował orkiestrą wojskową. Te koncerty było słycać w całej okolicy.

W Ogrodzie Zoologicznym bywałem bardzo często przez całe dzieciństwo. Mieliśmy roczne karnety wstępu. Kiedyś dyrektor Zoo pan Szczerkowski powiedział do mojego ojca, że gdy młodszy syn pana przychodzi do nas, to ożywiają wszystkie zwierzęta, biegając przed ich kłatkami. Tam zrodziło się we mnie zamiłowanie do świata przyrody. Zawsze myślałem, że w tym kierunku ułoży się moje życie i praca zawodowa (równie często zaglądałem do Muzeum Przyrodniczego przyległego do Zoo). W gimnazjum profesor biologii dr Julian Rzózka, specjalista od hydrobiologii, wykładowca na Uniwersytecie Poznańskim, powiedział mi prowadzenie gabinetu biologicznego. Opiekowałem się tam zwierzętami wodnymi – rybami, żabami, salamandrami. Profesor zawsze mi mówił, że będę kiedyś jego słuchaczem. Ale powołanie okazało się silniejsze.

W miejscu dzisiejszego postoju taksówek obok Rynku Jeżyckiego był postój dorożek konnych. Inny postój był na ul. Mickiewicza, na narożniku z ul. Zwierzyniecką. Kiedyś, gdy przechodziłem z kolegami obok tego postoju, coś nas podkusiło i zapytaliśmy jednego z dorożkarzy: – Czy jest pan wolny? Odpowiedział, że jest. A my mu na to: – To weź się pan ożeń! Musieliśmy szybko zwać, aby nie dosięgnął nas swoim batem.

Oprócz dorożek były jeszcze tramwaje. Przez Jeżycę jeździła wtedy tylko jedna linia – „siódemka”, do ul. Polnej, bo tam się wtedy tak naprawdę kończyło miasto.

Na Jeżycach był też konsulat niemiecki, przy ul. Zwierzynieckiej, w okazałym budynku należącym dziś do Uniwersytetu. Od czasu gdy do władzy w Niemczech doszedł Hitler, stał tam posterunek policji granatowej, bo zdarzało się, że różne bojówki wybijały szyby. Przed 1933 rokiem to się nie zdarzało, choć przed wojną o mieszkańcach Jeżyc mówiło się „jeżyckie wybijokna”. Dzielnica była trochę łobuzerska, ale czasy wtedy były dużo bezpieczniejsze. Policja granatowa budziła respekt – jak gdzieś się pojawił policjant, choćby jeden i bez pałki, to wszyscy chętni do drak natychmiast znikali. I większość ludzi była bardzo uporządkowana, czasy pruskie pozostawiły po sobie bez wątpienia ślad.

W kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa i św. Floriana, w którym później przez wiele lat byłem proboszczem, zostałem w 1921 roku ochrzczony. Przy tej samej chrzcielnicy, przy której ochrzczono obecnego arcybiskupa Juliusza Paetza. W tym czasie Przecznicą należała do tej właśnie parafii. W 1932 roku przyłączono ją do nowo powstałej parafii św. Michała przy ul. Stolarskiej. Co ciekawe, przez kolejne lata mieszkalem coraz bliżej kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa. W 1936 roku przeprowadziliśmy się na ul. Mickiewicza 34, z czego wszy-

scy byliśmy zadowoleni, tylko stryj biskup ubolewał, bo kiedy nas odwiedzał, to musiał wchodzić na drugie piętro, a na Przeczniczy mieszkaliśmy na parterze. Po wojnie ta kamienica znalazła się w parafii Najświętszego Zbawiciela, ale moja rodzina od października 1939 roku mieszkała już przy ul. Asnyka. A kiedy ta ulica znalazła się w utworzonej w 1982 roku parafii Podwyższenia Krzyża przy ul. Szamarzewskiego, to ja już – jako proboszcz – zamieszkałem na plebanii przy ul. Kościelnej i mam nadzieję, że nikt mnie od mojej rodzinnej parafii już nie odłączy.

Chodziłem do prywatnej szkoły podstawowej pod wezwaniem św. Kazimierza, pani Marii Rozmuskiej, przy ul. Stolarskiej, na terenie dzisiejszej straży pożarnej. Okazała willa, budynek szkoły, została całkowicie zniszczona w czasie nalotu alianckiego w 1943 roku. Szkoła była koedukacyjna, ale uczyły same panie. Z panią Rozmuską jeszcze wiele lat po wojnie utrzymywałem kontakty. Właśnie na jej lekcji przepowiedziano mi, że zostanę kapłanem. Kiedyś, już w ostatniej klasie, nie było naszej nauczycielki i w zastępstwie przyszła do nas pani Rozmуска. Zadała nam do napisania pracę na temat, kim będę w życiu. Inni zaczęli pisać, a ja nie mogłem się zdecydować. Pani Rozmуска to zauważyła, wstała od katedry, podeszła do mnie i zapytała, dlaczego nie piszę. Odpowiedziałem, że nie wiem, jaki zawód wybrać. I cała klasa zawołała: – Księdzem będziesz. A nic na to wtedy nie wskazywało. Dlatego odpowiedziałem: – Taki rojber jak ja nie może być księdzem. Pani Rozmуска popatrzyła na mnie i powiedziała: – Kto wie, kto wie? No i się spełniło.

Naszą wychowawczynią i polonistką była Natalia Tułasiewicz, którą 13 czerwca ubiegłego roku Ojciec Święty ogłosił błogosławioną w gronie 108 męczenników z czasów wojny. Kiedyś kazała nam nauczyć się wiersza. Pamiętam, że miał pięć zwrotek, a ja nauczyłem się trzech. I akurat mnie wywołała do odpowiedzi. Wyrecytowałem, co umiałem. Zapytała: – A co z dwoma pozostałymi zwrotkami? Wtedy odpowiedziałem: – Omne trinum est perfectum. Może ze względu na rezolutną odpowiedź pani Tułasiewicz nie wyciągnęła wtedy żadnych konsekwencji?

Potem poszedłem do Gimnazjum i Liceum im. Karola Marcinkowskiego. Przeważali tam uczniowie z Jeżyc, miałem kolegów i z ul. Mickiewicza, i z Przeczniczy. Naszym wychowawcą był polonista prof. Lesław Eustachiewicz, który w czasie wojny znalazł się w Krakowie, pracował potem na Uniwersytecie Jagiellońskim. Miałem wspaniałych nauczycieli: biologa dr Juliana Rzóske, o którym już wspominałem, późniejszego wykładowcę Uniwersytetu w Oxfordzie, Jana Stahra, łacinnika, po wojnie wykładowcę na filologii klasycznej na UAM, geografa, dra Bogdana Krygowskiego, po 1945 roku też na Uniwersytecie. Fizyki i chemii uczył nas prof. Zajączkowski, który później wykładał na Politechnice, a języka niemieckiego i francuskiego nauczał doktor Karol Rżyski. Zmarł po wojnie i został pochowany na jeżyckim cmentarzu. Na jego grobie jest bardzo piękny napis: „Wychowawca młodzieży”. Był jeszcze matematyk, prof. Jan Sobaszek. Bardziej interesowały mnie przedmioty humanistyczne, ale z matematyką nie miałem kłopotów, a jeśli czegoś nie wiedziałem, to po drugiej stronie ul. Mle-

klowicza mieszkał mój kolega z klasy Wladek Czyż, który z matematyki był najlepszy.

Miałem w „Marcinku” trzech prefektów – trzy lata uczył mnie ksiądz Antoni Banaszak, który po wojnie, i po pobycie w obozie w Dachau, utworzył polskie Seminarium Duchowne w Paryżu. W ubiegłym roku zmarł, mając 98 lat. Był najstarszym kapłanem diecezji poznańskiej. Ostatnim prefektem był znany historyk sztuki, ks. kanonik Arnold Marcinkowski.

Po powstaniu mój ojciec pracował jako prokurent w Banku Kredytowym i stamtąd został powołany przez prezydenta miasta Cyryla Ratajskiego na stanowisko współorganizatora Radia Poznańskiego. Wtedy radiostacja podlegała samorządowi miasta. W 1925 roku powstał komitet organizacyjny i Ojciec znalazł się w jego składzie, a następnie został dyrektorem. To było trzecie radio w Polsce – pierwsze było w Warszawie, drugie w Krakowie. W latach 30. wszystkie istniejące w Polsce radiostacje scentralizowano i odtąd podlegały Ministerstwu Poczty i Telegrafów, a nazwę Radio Poznańskie przemianowano na Radio Polskie – Poznań.

Radio mieściło się w dwóch miejscach. Studio w dawnym teatrze niemieckim przy pl. Wolności, tam gdzie dzisiaj jest m.in. siedziba Wydawnictwa Miejskiego i redakcja „Kroniki Miasta Poznania”. Ojciec nieraz zabierał nas tam w niedzielę po mszy św. Wchodziliśmy do studia w czasie nadawania, wtedy wszystko szło na żywo, trzeba więc było być bardzo cicho. Przypominam sobie występ pani Lucyny Szczepańskiej, zwanej słowikiem Warszawy. Kierownikiem muzycznym radia był pianista, prof. Franciszek Łukasiewicz, kierownikiem programowym pisarz Emil Zegadłowicz, potem zastąpił go inny literat Zenon Kosidowski. Działem technicznym kierował inżynier Jungerman.

Ale radio także miało swoje związki z Jeźcami. Program, nadawany ze studia kablami, przekazywany był do tak zwanej amplifikatorni, która mieściła się przy ul. Bukowskiej, w budynku, który dzisiaj zajmuje konsulat rosyjski. Tam stały dwa maszty wysokie na ponad 50 m. Kiedy miałem 10 lat na jeden z nich próbowałem wejść. Wchodziło się po metalowej, wewnętrznej drabinie. Maszty były odnawiane i robotnicy zostawili wejście otwarte. Byłem już w połowie, kiedy nadjechał ojciec. Finał sprawy wspominam nieprzyjemnie.

Kiedy zwiększano zasięg radia, maszty z ul. Bukowskiej przeniesiono na teren wojskowy na Cytadeli.

W związku z wybuchem wojny radio zostało ewakuowane. Dojechaliśmy w okolice Kutna, w tzw. „kotle kutnowskim” przeżyliśmy ciężkie chwile. Pod koniec września wróciliśmy do Poznania. Szybko okazało się, że Niemcy poszukują mego ojca jako powstańca i jako dyrektora radia. Dlatego w grudniu 1939 roku przez zieloną granicę dotarliśmy do Warszawy. Myśleliśmy, że ojca nie będą tam już szukać. A jednak go wytropili i wiosną 1941 roku aresztowali. Przewieźli do Poznania do Fortu VII, był przesłuchiwany w Domu Żołnierza. Wśród przesłuchujących go gestapowców był syn niemieckiego księgarza z księgarni przy ul. Kantaka, tam gdzie dziś jest Veritas. Ojciec często tam chodził i kupował książki. Po jednym z przesłuchań syn tego księgarza podszedł do ojca na koryta-

rzu i po polsku powiedział: – Panie Okoniewski, ja zrobię wszystko, żeby pan był zwolniony, bo pan jest niewinny. I w końcu ojca wypuścili, ale w Forcie VII zniszczyli mu zdrowie, miał wtedy 54 lata. Kiedy wrócił do Warszawy, był już ciężko chory, miał odbite nerki i po dwóch tygodniach zmarł.

Gdy znalazłem się w Warszawie wiosną 1940 roku, zacząłem chodzić na tajne komplety maturalne. Przed wojną skończyłem pierwszą licealną. To była wtedy ostatnia klasa przed maturą, którą mieliśmy zdawać w 1941 roku.

W tym czasie, idąc za głosem powołania, zostałem przyjęty do Seminarium Duchownego w Warszawie. Od września 1940 roku zacząłem studiować, nie mając matury, więc dalej chodziłem na komplety. W listopadzie zachorowałem na gripę i nie poszedłem na spotkanie na Saskiej Kępie. Tego dnia całą moją grupę aresztowano i wywieziono do Oświęcimia. I wtedy rektor, ks. Roman Archutowski, zamęczony na Majdanku i ogłoszony błogosławionym, zabronił nam chodzić na komplety. Powiedział, że nie chce brać odpowiedzialności za nasze życie. Mieliśmy dalej studiować w seminarium, a maturę zrobić, kiedy będzie taka możliwość.

Potem znalazłem się w seminarium w Kielcach. Wojna się skończyła, ja studiowałem piąty rok, święcenia blisko, a matury ciągle nie miałem. W kwietniu 1945 roku wróciłem do Poznania. Katedra i gmach Seminarium Duchownego leżały w gruzach, więc wszyscy seminarzyści musieli studiować w Gnieźnie. Tu sprawę postawiono jasno – muszę zdać maturę, inaczej nie zostanę wyświęcony. Tak mi powiedział rektor poznańskiego seminarium ks. Kazimierz Kowalewski. To on zresztą nalegał na mój powrót z Kielc. Byłem już diakonem, a w całej diecezji poznańskiej i gnieźnieńskiej nie było ani jednego diakona. Ksiądz rektor powiedział mi: – Wróci do kraju kardynał Hlond i nie będzie miał mu kto asystować w czasie uroczystych mszy św. Potem, gdziekolwiek była jakaś większa uroczystość odprawiana przez kardynała Hlonda, ja musiałem mu asystować.

Skończyłem piąty rok studiów i wziąłem się za maturę. Próbowałem w Poznaniu, ale tu nigdzie nie było egzaminów maturalnych, miały być dopiero wiosną 1946 roku. Podobnie w Gnieźnie. Myślałem, że stracę rok. Dopiero przy pomocy przyjaciół udało mi się podejść do egzaminu w toruńskim Liceum im. Mikołaja Kopernika. To była eksternistyczna matura samych kleryków z Gniezna, z Poznania, z Pelplina, razem 25 maturzystów. W końcu listopada, miesiąc przed święceniami, zdaliśmy. Można powiedzieć, że wojna przyspieszyła moje święcenia o pół roku, bo maturę zdawałbym w 1940, a święcenia miałbym w 1946 roku. Święceń udzielił mi w Katedrze gnieźnieńskiej prymas Hlond.

Wtedy było nas z parafii jeżyckiej wyświęconych trzech, poza mną jeszcze ksiądz Kazimierz Łaszewski, uczeń „Marcinka” i bardzo aktywny harcerz „Błkitnej Czternastki”, był ze mną w seminarium w Kielcach, i ksiądz Józef Szczepaniak, który przez całą wojnę pracował w Poznaniu jako tramwajarz.

Pierwszą mszę św. odprawiłem w grudniu 1945 roku w naszym jeżyckim kościele, który w tym czasie ponownie zaczął służyć parafii. Niemcy jesienią 1941 roku kościół zamknęli i zrobili z niego magazyn, a jeszcze w 1939 roku aresztowali ostatniego proboszcza, ks. Czesława Michałowicza, którego zamęczyli potem

w Forcie VII. W czasie działań wojennych w 1945 roku języcka świątynia bardzo ucierpiała. Trafiona pociskiem artyleryjskim wieża runęła na strop kościoła. Przez jakiś czas parafia korzystała z poprotestanckiego kościoła przy ul. Szamarskiego. Proboszczem był wtedy ks. Franciszek Marlewski.

Po święceniach trafiłem do parafii w Zaniemyślu, w 1947 na dwa lata do Opalenicy. Od 1949 do 1951 byłem wikarym w parafii pw. Bożego Ciała w Poznaniu. W kwietniu 1951 roku zostałem prefektem niższego Seminarium Duchownego w Wolsztynie. Po maturze większość naszych wychowanków zgłaszała się do seminarium. Moim uczniem był między innymi wywodzący się z parafii jeżyckiej arcybiskup poznański, ks. Juliusz Paetz. Zapamiętałem go jako ucznia wybitnie uzdolnionego humanistycznie. Moimi uczniami w Wolsztynie byli także: ks. arcybiskup Zenon Grocholewski, prefekt kongregacji do spraw nauki katolickiej, ksiądz biskup Stanisław Napierała, biskup kaliski, profesorowie na Wydziale Teologicznym UAM w Poznaniu, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, na Uniwersytecie im. Kardynała Wyszyńskiego w Warszawie i wielu innych wybitnych i zasłużonych kapłanów duszpasterzy w archidiecezji poznańskiej i kaliskiej.



Ryc. 1. Dzieci przystępujące do tzw. wczesnej Komunii Świętej, w środku ks. proboszcz Włodzimierz Okoniewski, 11 maja 1969 r.

W 1958 roku miałem objąć parafię św. Piotra i Pawła w Krotoszynie, ale władze świeckie nie zgodziły się. Po długich targach z kurią arcybiskupią zatwierdziły mnie w Skokach. Tam byłem proboszczem przez 10 lat. Stamtąd w 1968 roku trafiłem na Jeżyce. Tu też władze przeszkadzały. Nie podobały im się moje kazania. I w Skokach, i na Jeżycach miałem ciągłe kontrole – finansowe oraz z Wydziału Oświaty. Nigdy się nie ugiąłem – nieraz żądano ode mnie, bym nie odczytał listu pasterskiego episkopatu i straszono, że za opór władzy państwowej grozi więzienie. Nakładano grzywny za organizowanie pielgrzymek bez zezwolenia. Żadnej nie zapłaciłem. Kiedyś parafianie złożyli się na taką karę, a ja kupiłem za to puszkę do komunikantów. Dopiero w latach 70. naciski powoli ustawały. Żądano co prawda składania co roku sprawozdań z prowadzenia lekcji religii przy parafii, ale nigdy tego nie robiłem.

Na początku na Jeżycach także mnie nie zatwierdzono. Nie otrzymałem zgody na zameldowanie w Poznaniu. Pełniłem funkcję proboszcza, ale kuria biskupia musiała w dokumentach napisać, że jestem wikariuszem adiutorem, czyli wikariuszem wspomagającym proboszcza emeryta, księdza Henryka Lewandowskiego. Dopiero po roku władze zgodziły się na moją nominację.

Przez te wszystkie lata, kiedy byłem wikariuszem, prefektem i proboszczem w Skokach, często odwiedzałem moją rodzinę na Jeżycach i ten kościół. Często odprowadzałem tu msze św., spowiadałem. Nigdy nie przypuszczałem, że będę tu proboszczem.

Widziałem, jak po wojnie parafia się zmienia. Przed wojną Jeżyce były dużo bardziej zadbane i czyste. Wojna zniszczyła wszystko – wymieszała ludność, prawie znikło zamiłowanie do porządku. Przedtem mieszało tu wielu kupców, drobnych przedsiębiorców, była to dość bogata parafia. Po wojnie zubożała, stała się parafią robotniczą, tak jak przed stu laty była rolniczą.

W okresie międzywojennym kościół był zawsze przepełniony, w niedzielę tłumy ludzi stały wewnątrz i przed kościołem. Po 1945 roku ludzi było coraz mniej. W pobliżu powstawały nowe parafie. Przed wojną jeżycka parafia była ogromna, obejmowała nawet Ławicę i Smochowice, liczyła ok. 50 tys. mieszkańców. Kiedy ja objąłem parafię, liczyła ok. 32 tys., a po powstaniu parafii Podwyższenia Krzyża liczy dziś ok. 18 tys. osób. Teraz wiernych trochę przybyło, bo buduje się nowe plomby. I bardzo dobrze, do parafii przybywają młode rodziny.

W Skokach parafia miała tylko 4 tys. wiernych. Większość z nich po 10 latach znałem z imienia. A tu kolos, większa anonimowość. Przez te wszystkie lata nie udało mi się obejść całej parafii podczas kolędy. Ksiądz arcybiskup Stroba był wielkim zwolennikiem dzielenia parafii. Nawet 20-tysięczną, po podziale w 1982 roku, uważał za zbyt dużą. Szukaliśmy miejsca, gdzie można by jeszcze kościół wybudować. Pokazałem księdzu arcybiskupowi plan miasta z zaznaczonymi granicami parafii. Arcybiskup znalazł wolny plac, ale należał do kilku jeżyckich zakładów przemysłowych, takich jak Wiepofama, Powogaz, Goplana i inne. – A tu, albo tu – szukał dalej ks. arcybiskup. – A tu jest Rynek Jeżycki i pl. Asnyka – odpowiedziałem. Myśleliśmy o dawnym cyrku przy ul. Norwida, który póź-



Ryc. 2. Spotkanie dzieci z arcybiskupem Antonim Baraniakiem w 1974 r.
Fot. Archiwum Kościoła pw. Najświętszego Serca Jezusa i św. Floriana.

niej spłonął. Ale przekonałem arcybiskupa, że mieszkańcy Norwida mają do kościoła parafialnego 600 m i do ojców dominikanów też 600.

Byłem tu proboszczem 24 lata. Proboszczowało mi się dobrze, bo miałem świetnych pomocników – i wikarych, i osoby świeckie. Najważniejszymi wydarzeniami religijnymi w naszej parafii w tym czasie były misje, które zorganizowałem cztery razy. Pierwsze poświęcone były Sercu Jezusa i miały na celu rozbudzenie tego nabożeństwa, bo przecież parafia jest pod tym wezwaniem. Potem były jeszcze misje związane z rokiem świętym i z nawiedzeniem obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

W naszej parafii odbywały się zawsze bardzo uroczyste procesje Bożego Ciała. Gdy byłem proboszczem, w jednej z nich uczestniczył kardynał Sebastian Baggio, prefekt kongregacji ds. biskupów, który był gościem arcybiskupa Baraniaka. Kardynał był zdumiony liczbą wiernych uczestniczących w procesji w zwykły, roboczy dzień. Innym gościem był biskup Joachim Ruhuna z Burundii, który zginął później podczas zamieszek w tym kraju. Przyjechał, bo z naszej parafii pracowało w jego diecezji trzech karmelitów i chciał odwiedzić ich rodziny. Z jednym z tych karmelitów, ojcem Janem Kantym Stasińskim, utrzymuję do tej pory kontakty.

Procesje chodziły wtedy stałą trasą: Kościelna, Jeżycka, Kochanowskiego i z powrotem Poznańską. Nie mieliśmy zgody na przecinanie ul. Dąbrowskiego, dostaliśmy ją dopiero po 1989 roku. Wtedy zaczęliśmy chodzić najpierw Poznań-



Ryc. 3. Jeżycka procesja Bożego Ciała; od lewej ks. Bolesław Jurga, ówczesny proboszcz parafii Chrystusa Dobrego Pasterza, ks. Włodzimierz Okoniewski i ks. Tomasz Kurkowiak, lata 80.
Fot. Archiwum Kościoła pw. Najświętszego Serca Jezusa i św. Floriana.

ską, potem Kochanowskiego, celowo przy komendzie policji, bo tu w latach PRL ludzie ginęli i byli katowani, i wracaliśmy ul. Dąbrowskiego. W pierwszym roku na budynku komendy nie było ani jednej flagi. Przed kolejną procesją zadzwoniłem do komendanta policji i powiedziałem, że wszyscy parafianie są oburzeni, bo to jedyny nie udekorowany budynek na trasie procesji. Od tego czasu flagi są wywieszane.

Komendę na Kochanowskiego poznałem po rekolekcjach kapłańskich we wrześniu 1953 roku. Zostałem wtedy wezwany na przesłuchanie. Cytowali mi całe fragmenty nauk rekolekcyjnych, pewnie je nagrywali. Funkcjonariusz UB pytał mnie, czy to słyszałem i co na ten temat sądzę. A nauki głoszone przez zakonnikarza rzeczywiście były bardzo ostre. Przy łagodniejszych fragmentach starałem się tak je wytłumaczyć, aby nie miały wydźwięku antypaństwowego,

przy ostrzejszych mówiłem, że nie słyszałem. To bardzo tego ubeka zdenerwowało i krzyknął: – To jak słuchaliście tego kazania? Odpowiedziałem mu też per wy: – Jak wy pójdziecie do kościoła, to też część kazania usłyszycie, a na części przyśniecie. I mnie puścili.

Procesje Bożego Ciała to była jedna z nielicznych okazji, żeby zobaczyć potomków Bambrów w ich ludowych strojach. Przed wojną ludzi w takich strojach można było czasem spotkać na ulicach, po wojnie już tylko na procesjach. Kiedy miasto Bamberg w latach 70. obchodziło 1000-lecie istnienia, jako proboszcz tej parafii dostałem zaproszenie od tamtejszych władz. Proponowali przyjazd, na ich koszt, z grupą parafian w strojach bamberskich. Zwróciłem się z prośbą do Wydziału Konsularnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych o wydanie paszportów. Dostałem odpowiedź ustną z Urzędu ds. Wyznań, że niemiecka prasa napisze, że w Poznaniu chodzi się jeszcze w strojach niemieckich. I pozwolenia nie dostaliśmy.

Przez te wszystkie lata zawsze coś remontowałem – odnowiliśmy prezbiterium, boczne nawy, poprzeczne, witraże. Założyłem centralne ogrzewanie w budynkach parafialnych. Kiedyś biskup Etter zapytał mnie, kiedy odbuduję zburzoną w 1945 roku wieżę. Znałem opinię poprzedniego proboszcza, ks. Lewandowskiego, dobrego znawcy architektury sakralnej, więc odpowiedziałem, że nigdy. O tym trafieniu pociskiem artyleryjskim można powiedzieć: o felix culpa, o szczęśliwa wino. Bo dopiero teraz kościół ma właściwą romańską wieżę. Poprzednia wieża wywierała pruskie piętno na tym kościele.

Zbliżały się moje 70. urodziny, a jednocześnie wielkimi krokami nadchodziło 100-lecie parafii. Wiedziałem, jaki to ogromny wysiłek, bo sam organizowałem uroczystości 75-lecia. Dlatego złożyłem rezygnację u księdza arcybiskupa, bo wiedziałem, że tutaj musi przyjść jakiś młodszy proboszcz. Arcybiskup Stroba zdziwił się, bo mogłem jeszcze pięć lat pełnić tę funkcję w zgodzie z prawem kanonicznym. Ale argument o 100-leciu go przekonał. Pytał mnie o kandydata na następcę. Pierwszego odrzucił, drugiego podobnie. Wtedy powiedziałem, to może ksiądz arcybiskup sam wybierze. Byłem szalenie uradowany, że wybrał mojego byłego wikariusza księdza Romana Kubickiego, bo to był jeden z najlepszych moich wikariuszy, a miałem ich 33. Ja sam go nie zgłosiłem, bo był wtedy ojcem duchownym w seminarium i sądziłem, że nie ma szans na nominację. I wyszło to najlepiej, jak być mogło.

Nowego proboszcza nazywam Romanem Odnowicielem. Jest nie tylko wspa- niałym duszpasterzem, ale i dobrym gospodarzem. Przeprowadził remont całego kościoła – zabytkowych polichromii, posadzki, dachu, ołtarzy, ambony, organów. Świątynia wygląda naprawdę pięknie.

A ja od 1992 roku nadal służę parafii, jak mogę. Odprawiam msze św., spowiadam, nieraz głoszę kazania. Mieszkam przy kościele, w którym zostałem ochrzczony, gdzie odprawiłem swoją pierwszą mszę św. i gdzie przez 24 lata byłem dziesiątym z rzędu jeżyckim proboszczem.

ŚLADAMI

ZESTAW DLA PARAFII

prezenter *

wielokrotnego użytku,
format 60 x 160 cm
z miejscem na 6 naklejek

6 naklejek
172 x 236 mm

2 plakaty
format A3



ZESTAW DLA DZIECI

plansza
format: A3/A4

6 naklejek
59 x 85 mm



wiecej informacji:

tel. 61 659 37 74, e-mail mielewska@swietwojciech.pl

lub u przedstawicieli handlowych „Przewodnika Katolickiego”

BIBLIOTEKA
KAZNODZIEJSKA

Przewodnik

ZALĄCZNIK NR 2

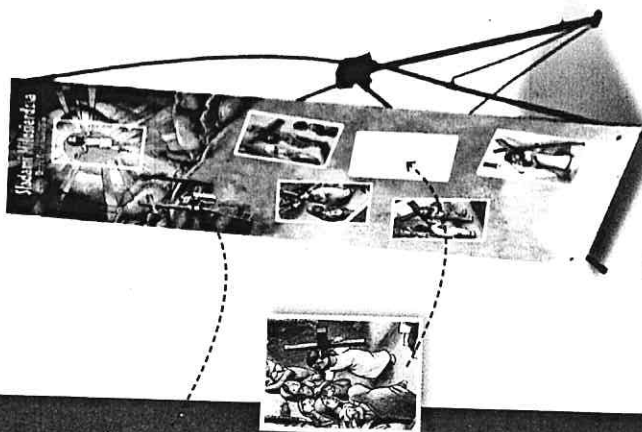
DO UCHWAŁY NR XVIII/122/2016/2020

RADY OSIEDLA JEŻYCE

z dnia 8 października 2020 r.

ŚLADAMI MIŁOSIERDZIA

materiały duszpasterskie
na Drogę Krzyżową 2016



MIESIĘCZNIK GOŚCIELNY ARCHIDIECEZJI POZNAŃSKIEJ

1 | 2016 | ROK LXVII

Chrzest 966, p



1 | 2016 | ROK LXVII



Ksiądz Włodzimierz Marian Okoniewski (1921-2015)

„Mons. Okoniewski magna gaudet auctoritate et aestimatione tam apud clericos quam apud laicos propter valores morales et spirituales propriae habitudinis sacerdotalis. Verus vir Ecclesiae, toto corde Sedi Apostolicae addictus”. Taką opinię o zasłużonym prałacie przedstawił w liście do Stolicy Apostolskiej abp Jerzy Stroba. Ta wierność i ofiarna służba Kościołowi cechowała długie życie ks. Włodzimierza Okoniewskiego.

Włodzimierz urodził się 31 sierpnia 1921 r. w Poznaniu w parafii pw. Najświętszego Serca Jezusa i św. Floriana na Jeżycach, której jako proboszcz od 1968 r. poświęcił wiele lat pracy duszpasterskiej. Ojcem jego był Kazimierz, matką Helena z Likowskich. Pierwszą Komunię św. Włodzimierz przyjął w 1930 r. W tym samym roku sakramentu bierzmowania udzielił mu w swej prywatnej kaplicy w Pelplinie stryj – bp Stanisław Okoniewski. Przed rozpoczęciem wojny zdał ukończyć pierwszą klasę liceum humanistycznego Gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. W grudniu 1939 r. cała rodzina została przeniesiona do Warszawy. We wrześniu 1940 r. został przyjęty do Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Warszawie. W przesłanym do seminarium świadectwie moralności, które wystawił zastępujący jeżyckiego proboszcza ks. Kazimierz Biegański, czytamy: „Włodzimierz Marian Okoniewski odznaczał się zawsze prawdziwą pobożnością. Brał często udział we Mszy św. w dni powszednie i przyjmował często Sakramenta św. Pracował również w Sodalicii Marińskiej uczniów gimnazjalnych” (29.8.1940).

Od 1943 r. Włodzimierz kontynuował studia teologiczne w seminarium duchownym w Kielcach. Na mocy dyspensy Stolicy Apostolskiej mógł bez *litterae dimissoriae* (podobnie jak w czasie wojny klerycy z innych diecezji) otrzymać święcenia niższe, a następnie subdiakoniat i diakonat z rąk bp. Czesława Kaczmarka. Po zakończeniu działań wojennych wrócił do swej macierzystej archidiecezji i został przyjęty do arcybiskupiego seminarium w Gnieźnie, ponieważ poznańskie było kompletnie zniszczone. Ksiądz Jan Jaroszewicz, rektor seminarium kieleckiego, w przesłanym świadectwie studiów tak scharakteryzował swego wychowanka: „Włodzimierz Okoniewski jest klerikiem pod każdym względem wzorowym, poważnie traktującym swoje obowiązki” (23.4.1945). Święcenia kapłańskie otrzymał 22 grudnia 1945 r. i krótko potem, z dniem 1 stycznia 1946 r., został powołany na stanowisko wikariusza w Zaniemyślu w dekanacie średzkim. Z dniem 15 lutego 1947 r. został przeniesiony jako *vicarius cooperatore* do Opalenicy. Jego roczną pracę w Zaniemyślu dobrze ocenili proboszcz, a zarazem dziekan ks. Ewaryst Nawrowski, pisząc w opinii przesłanej do Kurii Metropolitalnej: „Był gorliwy i sumienny w spełnianiu swoich obowiązków i prowadził życie nienaganne. Jest bardzo towarzyski” (20.2.1947).

Ksiądz Okoniewski, po konsultacji u ks. prof. Jana Piwowarczyka w Krakowie, zamierzał podjąć studia z teologii moralnej z uwzględnieniem nauk społecznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z powodu braku duchowieństwa, wyniszczonego przez Niemców podczas okupacji, nie mógł uzyskać zwolnienia z obowiązków duszpasterskich w Opalenicy, ale dla ułatwienia odbycia studiów został powołany z dniem 1 lipca 1949 r. na wikariat przy kościele pw. Bożego Ciała w Poznaniu. Po dwóch latach, 1 kwietnia 1951 r., objął stanowisko prefekta przy Niższym Seminarium Duchownym w Wolsztynie. W tym samym roku uzyskał stopień magistra na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, przedstawiając pracę pt. *Nauka i działalność społeczna arcybiskupa Floriana Stablewskiego* (28.6.1951).

W 1955 r. zdał egzamin proboszczowski, na który ks. dr Jan Ściepiński, proboszcz i zarazem dziekan zbąszyński, przesłał następującą opinię: „Poświadczam, że ks. Okoniewski, który od szeregu lat pracuje w Niższym Seminarium Duchownym w Wolsztynie, zaskarbił sobie zaufanie księży w dekanacie z powodu beznagannego postępowania i chętnego służenia pomocą, gdy tylko czas na to pozwala” (2.3.1955).

W tym samym roku uzyskał zgodę władzy duchownej na studia na Wydziale Teologicznym (sekcja moralna) Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie celem rozpoczęcia pracy doktorskiej.

Z dniem 1 sierpnia 1957 r. ks. Okoniewski został przeniesiony na wikariat w parafii pw. św. Michała Archanioła w Poznaniu. Z zamiarem powierzeniu mu stanowiska proboszcza w Skokach (dekanat gośliński), 1 sierpnia 1958 r. został skierowany na wikariat przy tamtejszym kościele. Po uzyskaniu wymaganej wówczas akceptacji władz komunistycznych abp Antoni Baraniak, z dniem 1 listopada 1958 r., oddał mu w zarząd kościół parafialny pw. św. Mikołaja w Skokach. Miesiąc wcześniej, od 1 października, powierzył mu wykłady z liturgii w seminarium na czas choroby i rekonwalescencji ks. prał. Nikodema Mędlewskiego.

W 1968 r. Urząd do spraw Wyznań nie wyraził zgody na objęcie przez ks. Okoniewskiego stanowiska administratora parafii pw. Najświętszego Serca Jezusa i św. Floriana na Jeżycach w Poznaniu, ponieważ nie spełniał restrykcyjnych, niezgodnych zresztą z porozumieniem między państwem a Kościołem zarządzeń. Dotyczyły one prowadzenia ksiąg inwentarzowych i składania sprawozdań z punktów katechetycznych w Skokach. Kiedy mimo to abp Antoni Baraniak tymczasowo mianował go zarządcą jeżyckiej parafii z dniem 1 lipca 1968 r., władze administracyjne odmówiły ks. Okoniewskiemu zgody na zameldowanie przy kościele. Po odwołaniach władze wreszcie nie zgłosiły zastrzeżeń do mianowania ks. Okoniewskiego administratorem parafii, a książdz arcybiskup, z dniem 15 stycznia 1969 r., oddał mu w zarząd stały kościół parafialny na Jeżycach.

Książdz Okoniewski poświęcił się ofiarnie pracy w tej ogromnej parafii. Wiele trudu wymagała organizacja ośrodka duszpasterskiego przy kaplicy pw. św. Barbary na cmentarzu jeżyckim. Podczas wakacji starał się wyjeżdżać co jakiś czas za granicę (Rzym, Ziemia Święta, sanktuaria w Niemczech i Francji). 22 grudnia 1970 r. obchodził w swej parafii jubileusz 25-lecia kapłaństwa i z tej okazji otrzymał od abp. Antoniego Baraniaka piękne życzenia wraz z błogosławieństwem. W następnym roku ks. arcybiskup mianował go dziekanem dekanatu Poznań-Północny Zachód. W 1972 r. wyjechał do Portugalii, aby po długich staraniach sfinalizować sprowadzenie do Polski zwłok śp. bp. Stanisława Okoniewskiego. W 1973 r. Ojciec Święty Paweł VI, na prośbę abp. Antoniego Baraniaka, obdarzył ks. Okoniewskiego godnością prałata. Z dniem 1 października 1975 r. abp Baraniak mianował go deputatem dla spraw

dyscypliny Metropolitalnego Seminarium Duchownego. Do jego obowiązków należała ocena problemu dyscypliny w seminarium, przygotowanie odpowiednich sugestii dla ordynariusza i, w porozumieniu z rektorem, ustalenie odpowiednich zaleceń.

Z uwagi na nie najlepszy stan zdrowia, pod koniec 1981 r. ks. dziekan poprosił o nieprzedłużanie jego kadencji. Abp Jerzy Stroba przychylił się do jego prośby i w 1982 r. zwolnił go ze stanowiska, dziękując za-razem za wzorowe wypełnianie obowiązków diekana przez dziesięć lat. Do roku 1988 r. ks. prałat brał udział w pracach Archidiecezjalnej Komisji Duszpasterstwa Rodzin, a następnie został mianowany sędzią diecezjalnym w Metropolitalnym Sądzie Duchownym.

W lutym 1992 r. ks. prałat Okoniewski poprosił o zwolnienie z obowiązków proboszcza ze względu na wiek i podpadające zdrowie. Abp Stroba przychylił się do jego prośby, jednocześnie wyrażając zgodę, by zamieszkał przy kościele w budynku parafialnym. Przy tej okazji wyraził mu „głęboką wdzięczność za lata wiernej i ofiarnej posługi kapłańskiej w archidiecezji” i udzielił mu błogosławieństwa (5.6.1992).

Złoty jubileusz święceń kapłańskich ks. prałat Okoniewski obchodził 22 grudnia 1995 r. i z tej okazji otrzymał serdeczne życzenia od swego arcybiskupa. W uroczystościach jubileuszowych, oprócz licznie zgromadzonych kapłanów, rodziny i parafian, wziął udział abp Marian Przykucki. 10 grudnia 1996 r. abp Juliusz Paetz mianował go kanonikiem honorowym Przewietnej Kapituły Metropolitalnej Poznańskiej, a po dwóch latach, z dniem 11 kwietnia 1998 r., podniósł do godności kanonika gremialnego teże kapituły. 60-lecie kapłaństwa ks. prałat obchodził w grudniu 2005 r. Na ten rzadki jubileusz abp Stanisław Gądecki przesłał mu obszerny list z serdecznymi życzeniami i arcybiskupskim błogosławieństwem (9.12.2005).

Książdz prałat Włodzimierz Marian Okoniewski odszedł po nagrodę do Pana 15 marca 2015 r. Na wieść o jego śmierci wyraził serdecznego współczucia przesłał z Rzymu kard. Zenon Grocholewski.

Uroczystości pogrzebowe księdza prałata odbyły się w Poznaniu w parafii pw. Najświętszego Serca Jezusa i św. Floriana. Wprowadzenie ciała do kościoła nastąpiło w czwartek 19 marca. Następnego dnia została odprawiona Msza św. pogrzebowa, której przewodniczył abp Stanisław Gądecki. Pogrzeb odbył się na cmentarzu parafii pw. Chrystusa Dobrego Pasterza.

ks. prof. UAM dr hab. Leszek Wilczyński